

„Dawno dawno temu” – fragment tekstu

Radowłos, Król Euralii, zasiadł do śniadania na zamkowej baszcie. Uniósłszy złotą pokrywę ze złotego półmiska, wybrał dorodnego pstrąga i przeniósł go starannie na swój złoty talerz. Król był człowiekiem skromnych upodobań, ale gdy ma się ciotkę, która właśnie opanowała zdolność zamieniania wszystkiego w złoto, trzeba jej czasami dać okazję do poćwiczenia, zwłaszcza że zamieniała w złoto, a nie na przykład w gips.

– Aaa – powiedział Król – jesteś, kochaneczko. – Rozejrzał się za serwetką, a tymczasem Księżniczka zdążyła już pocałować go lekko w czubek głowy i siadła na swoim miejscu naprzeciwko.

– Dzień dobry, ojczy – powiedziała. – Spóźniłam się nieco, prawda? Jeździłam konno po puszczy.

– Jakies przygody? – zapytał Król od niechcenia.

– Nic poza tym, że ranek jest piękny.

– No tak, być może to już nie ten kraj, co dawniej. Kiedy ja byłem młodzieńcem, nie sposób było znaleźć się w puszczy i nie przeżyć tam jakiejś przygody. A te niezwykłości, które się widywało! Czarownice, olbrzymy, karły... To właśnie tam poznałem twoją matkę – dodał w zamyśleniu.

– Szkoda, że nie pamiętam mamy – powiedziała Hiacynta.

Król chrząknął i spojrzał na nią z lekkim zakłopotaniem.

– Już siedemnaście lat, jak umarła, Hiacynto, miałaś wtedy zaledwie pół roku. Zastanawiałem się ostatnio, czy nie popełniam błędu, pozostawiając cię tak długo bez matki.

Księżniczka zdziwiła się.

– Ależ, tato, przecież to nie twoja wina, że mama umarła.

– Och, nie, nie, nie o to mi chodzi. Jak wiesz, porwał ją smok i... no, i tyle. Ale załóżmy – zerknął ku niej wstydliwie – że ożeniłbym się powtórnie.

Księżniczka oniemiała.

– Z kim? – zapytała.

Król zajrzał w głąb swojego pucharu.

– Cóż – odparł – pełno jest ludzi na świecie.

– Gdyby to był ktoś bardzo sympatyczny – powiedziała z namysłem Księżniczka – mogłoby to być nawet całkiem miłe.

Król uważnie studiował wzór na pucharze.

– Dlaczego „mogłoby być”? – zapytał.

Księżniczka trwała w zdumieniu.

– Bo przecież jestem dorosła – odrzekła. – Teraz już tak bardzo nie potrzebuję matki.

Król przekręcił puchar i przyjrzał mu się uważnie z drugiej strony.

– Troskliwa... yyy... ręka matki – bąknął – nigdy... yyy... – i właśnie wtedy wydarzył się skandal.

Wszystkiemu winien był prezent, który Król Barodii dostał na urodziny, a prezentem tym była ni mniej, ni więcej, tylko para siedmiomilowych butów. Ponieważ Król był akurat bardzo zajęty, upłynął tydzień lub nawet więcej, zanim miał okazję przymierzyć nowe buty. Przedtem tylko opowiadał o nich przy obiedzie i pucował je co wieczór przed pójściem do łóżka. Kiedy nadszedł wielki dzień pierwszej próby butów, Król wyniośle pożegnał żonę i resztę rodziny, zignorował tłum ciekawskich nosów rozplaszczonych o szyby okien Pałacu i żwawo puścił się w drogę. Jak wam zapewne wiadomo, ten rodzaj poruszania się jest z początku trochę zaskakujący, ale można się do niego szybko przyzwyczaić. Potem jest wspaniale. Król przemierzył jakieś dwa tysiące mil, zanim przyszło mu do głowy, że może mieć kłopoty ze znalezieniem drogi powrotnej. Kłopoty okazały się co najmniej tak poważne, jak to so-

bie wyobrażał. Przez resztę dnia wędrował tam i z powrotem po całym kraju i tylko czysty przypadek sprawił, że wczesnym rankiem, bardzo rozzłoszczony, wpadł w otwarte okno pałacowej spiżarni. Zdjął buty i pokornie udał się do łóżka.

Była to dla niego dobra nauczka. Postanowił w przyszłości podróżować wyłącznie po wytyczonych trasach, prowadzących od jednego punktu orientacyjnego do drugiego. Takie trasy opracowali mu Nadworni Geografowie – każda odpowiednia akurat na poranny spacer, długości około trzystu mil, do dziesięciokrotnego przemierzenia przed śniadaniem. Król zrobił sobie tydzień przerwy na ukojenie nerwów, a potem wyruszył na pierwszą z tras.

Królestwo Euralii graniczyło z Królestwem Barodii; Barodia była krainą płaską, Euralię zaś pokrywały wzgórza. Nic więc dziwnego, że Nadworni Geografowie w poszukiwaniu punktów orientacyjnych zwrócili uwagę na Euralię. I nad Euralią właśnie, w porze gdy w chatach i pałacach spożywano śniadanie, wznosił się i opadał, wznosił i opadał Król Barodii.

– Troskliwa... yyy... ręka matki – rzekł Król Euralii – nigdy... yyy... wielkie nieba! A to co takiego?

Nastąpił gwałtowny podmuch powietrza, coś na moment znalazło się między Jego Wysokością a słońcem, po czym wszystko wróciło do normy.

– Co to było? – zapytała Hiacynta z lekkim niepokojem.

– Wielce niezwykle – odparł Król. – Mam wrażenie, że dostrzegłem rude wąsy i ogromne buty. Czy znamy kogoś, kto tak wygląda?

– Król Barodii – powiedziała Hiacynta – ma rude wąsy, ale na temat jego butów nic nie potrafię powiedzieć.

– A cóż by on mógł robić tam w górze? Chyba że...

Nastąpił kolejny podmuch, tym razem z przeciwnej strony; znowu coś przesłoniło słońce – i nagle wszyscy wyraźnie ujrzeni oddalające się pośpiesznie plecy Króla Barodii, który zdążył do domu na śniadanie.

Radowłos wstał z godnością.

– Masz zupełną rację, Hiacynto – rzekł surowo. – To istotnie był Król Barodii.

Hiacynta wyglądała na zakłopotaną.

– Nie powinno się aż tak szybko latać nad cudzym śniadaniem, prawda, ojczyste?

– Popisał się żalonymi manierami, moja złota. Pójdę teraz i wystosuję do niego notę protestacyjną. Należy przestrzegać protokołu.

Z najbardziej surową miną, na jaką pozwalała jego z natury jowialne oblicze, i z wahaniem, czy aby właściwie użył słowa „protokół”, Król oddalił się do biblioteki.

Biblioteka była ulubionym apartamentem Jego Królewskiej Mości. Tu właśnie dyskutował co rano o polityce ze swoim Kanclerzem, tu przyjmował znakomitych gości, którzy przybywali do jego Królestwa w poszukiwaniu przygód, tutaj też popołudniami oddawał się rozmyślaniam, przeliczając broszurę „Jak rozmawiać z czarownikiem” lub inne dzieło wyjęte z półki na chybił trafił.

Najwięcej zaś tematów do medytacji w godzinach popołudniowych dostarczali mu znakomici goście, których przyjął rankiem. Aktualnie rozmyślał o siedmiu różnych księżkach, którym wyznaczył siedem różnych niebezpiecznych zadań, każdemu z nich obiecując w nagrodę rękę Hiacynty i pół Królestwa. Nic więc dziwnego, że uznał, iż córka potrzebuje opiekuńczej ręki matki.

Nocie Protestacyjnej do Barodii nie było dane zostać napisaną. Król wciąż wahał się nad wyborem jednej z dwóch stalówek, kiedy drzwi raptownie rozwarły się na oścież i zaanonsowano złowieszcze imię Hrabiny Bellafrygi.

Hrabina Bellafryga! Jakże mam wam opisać tę wspaniałą, straszliwą, fascynującą kobietę? Opętana ambicjami i nieprzebiegająca w środkach, które mogłyby doprowadzić ją do celu, zdradzała również ujmując ludzkie słabostki, przejawiające się w pasji prowadzenia dziennika i skłonności do najprostszych form lirycznych. Nie wątpię, że to właśnie ona jest złym duchem tej opowieści – w swoim dziele pod tytułem „Euralia wczoraj i dziś” Roger Krzywonożko nie oszczędza jej ani trochę – ale nigdy nie ważyłbym się zaprzeczyć, że i ona miała swoje wielkie zalety.

Tego ranka pisała wiersze, ubrana więc była na zielono. Zawsze nosiła się na zielono, kiedy nachodziła ją muza: pożyteczny obyczaj, który jako ostrzeżenie czy też inspirację dobrze byłoby upowszechnić wśród współczesnych poetów. Pod pachą miała olbrzymi dziennik, a w myślach kilka wersji spóstrzeżeń, które nasunęły się jej w drodze do Pałacu.

– Dzień dobry, droga Hrabino – rzekł Król, z nieukrywaną radością porzucając stalówki. – Cóż za wczesna wizyta!

– Wasza Wysokość nie ma mi tego za złe? – zapytała skwapliwie Hrabina. – W naszej wczorajszej rozmowie był punkt, co do którego nie jestem całkiem pewna...

– A o czym to mówiliśmy wczoraj?

– Och, Wasza Wysokość – odrzekła Hrabina – o polityce. – I posłała mu spojrzenie zarazem przebiegłe, niewinne, bezwstydne i kokieteryjne, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć, a i wy – jeśli o tym mowa – także byście nie potrafili.

– O polityce, naturalnie – uśmiechnął się Król.

– Zrobiłam nawet specjalny wpis do dziennika.

Położyła przed nim ogromną księgę i przerzuciła kilka kartek.

– O, jest! Wtorek. Jego Wysokość obdarzył mnie zaszczytem konsultacji na temat przyszłości swej córki, Księżniczki Hiacynty. Został na podwieczorku i był nad wyraz... Nie mogę odczytać tego słowa.

– Proszę mi pokazać – zaproponował Król, którego rumiane oblicze stało się nagle jeszcze bardziej rumiane. – Wygląda jak „czarujący” – rzucił niedbale.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Hrabina. –

A więc tak napisałam? Piszę zawsze to, co akurat przychodzi mi do głowy. – Wykonała dłonią gest charakteryzujący osobę, która zawsze pisze to, co akurat przychodzi jej do głowy, i wróciła do lektury dziennika: – Został na podwieczorku i był nad wyraz czarujący. Dumałam potem nad zmiennością ludzkich losów! – Spojrzała na Króla szeroko otwartymi oczami. – Często dumam, gdy zostaję sama – wyjaśniła.

Król cały czas krążył wokół dziennika.

– Czy ma tu pani więcej takich zapisów jak... jak ten ostatni? Można rzucić okiem?

– Och, Wasza Wysokość! Obawiam się, że to sprawy zbyt intymne. – Pośpiesznie zamknęła księgę.

– Dostrzegłem, zdaje się, jakieś wiersze – powiedział Król.

– To tylko mała oda do ulubionej makolągwy. Z pewnością nie zaciekawiałyby Waszej Królewskiej Mości.

– Ubóstwiam poezję – zaprotestował Król, który sam ułożył niegdyś rymowany dwuwiersz dający się recytować do przodu lub wstak, przy czym ten drugi sposób skutecznie likwidował czary. Według znakomitego dziejopisa Krzywonożki, dwuwiersz ten cieszył się w Euralii niemałym powodzeniem, a brzmiał on następująco:

Ba, bi, bo, bam.

La, li, lo, lam.

Treść sympatyczna, forma ujmująca prostotą.

Hrabina oczywiście tylko udawała. Tak naprawdę, miała wielką chęć odczytać swój wiersz.

– To taki drobiazg – powiedziała.

Witaj, o makolągwo!

Tyś to owym ptakiem,

Który swe czułe serce

Wylewa hen za krzakiem!

I wiedzie w pieśń skrzydlaty chór

Głosem nie byle jakim.

– Przepiękne – powiedział Król i trudno się z nim nie zgodzić. W wiele lat później poeta nazwiskiem Shelley popełnił plagiat, wykorzystując ten sam pomysł, przy czym uważam, że w jego wierszu było znacznie więcej sztuczności, a znacznie mniej uroku.

– Czy ten ptaszek naprawdę istniał? – zainteresował się Król.

– To mój dawny ulubieniec.

– Podobało mu się?

– Niestety, Wasza Wysokość, zmarł, nie wysłuchawszy wierszyka.

– Biedny ptaszek! – powiedział Król. – Myślę, że byłby zachwycony.

W tym czasie Hiacynta, nie wiedząc, że macocha jest być może tuż-tuż, dalej siedziała na baszcie, usiłując skończyć śniadanie. Ale nie bardzo jej się to udawało. Ostatecznie jest rzeczą naprawdę denerwującą bez przerwy odrywać wzrok od bekonu czy innych smakołyków po to, by znów zobaczyć obcego monarchę, który jakby nigdy nic przeskakuje człowiekowi nad głową. Jeszcze osiemnaście razy przemknął Król Barodii nad Hiacyntą. Kiedy zakończył swój pokaz, Hiacynta, której kręciło się już od tego w głowie, poszła do ojca.

Znalazła go w bibliotece samego, z głupkowatym uśmiechem na twarzy. Nigdzie nie było śladu Noty Protestacyjnej do Barodii.

– Wysłałeś już tę notę? – zapytała.

– Notę? Notę? – powtórzył oszołomiony Król. – Co za... ach, mówisz o Nocie Protestacyjnej do Króla Barodii? Właśnie ją układam, kochaneczko. Trudno utrafić we właściwy ton nagany połączonej z kurtuazją.

– Nie bawiłabym się w kurtuazję – powiedziała Hiacynta. – Po twoim odejściu on przeleciał jeszcze osiemnaście razy.

– Osiemnaście, osiemnaście, osiem... Moja droga! Ależ to zniewaga!

– Jeszcze nigdy nie miałam tylu odwiedzin podczas jednego śniadania.

– To wielce oburzające, Hiacynto. Nie czas na noty. Porozmawiamy z nim językiem, który na pewno zrozumie.

I Król oddalił się, aby pomówić z Kapitanem swoich łuczników.

*

I znowu był wczesny ranek na zamkowych murach.

Król siedział przy zastawionym do śniadania stole, a przed nim prężył się zastęp łuczników.

– Myślę, że się rozumiemy – mówił Król. – Kiedy Król Baro... kiedy powiem... no, kiedy powiem „już”, chcę, żebyście wszyscy wystrzelili w powietrze. Nie musicie w nic celować; macie po prostu wy-

puścić strzały w górę, a ja... tego... zobaczę, kto strzeli najwyżej. Gdyby coś... tego... gdyby coś prze-
latując, otarło się o jakąś strzałę... chociaż to oczywiście niemożliwe... to... tego... wtedy to... by się o
nią otarło. Ale co by się mogło otrzeć?

– Otóż to, Wasza Wysokość – przyznał Kapitan. – A raczej: otóż nic.

– Dziękuję. Na posterunki.

Każdy z łuczników założył strzałę do łuku i zajął swoją pozycję. Jednego postawiono na warcie.
Wszystko było gotowe.

Król był wyraźnie zdenerwowany. Chodził od jednego łucznika do drugiego, wypytywał o żonę i ro-
dzinę, chwalił za pięknie wypolerowany kołczan, radził zwrócić się bardziej plecami do słońca. Od cza-
su do czasu biegł do odległej wieżyczki wartownika, by pokazać mu na horyzoncie Barodię, i po-
śpiesznie wracał.

Wartownik wiedział, o co chodzi.

– Leci, leci! – wrzasnął nagle.

– Już! – ryknął Król, a chmara strzał wyfrunęła w powietrze.